

Liberalny inteligent patrzy na 500+

30 lipca 2016

Szeroko rozumiane media liberalne zalała fala materiałów mających podważyć sensowność programu Rodzina 500+. Teksty te jednak zaskakująco niewiele mówią o samym programie, za to całkiem sporo o ich autorach i odbiorcach, do których były w zamierzeniu kierowane.

Gdy obserwujemy dyskusję o pierwszych efektach 500+, łatwo dostrzec ewidentne podwójne standardy reprezentowane przez intelektualistów z liberalnej strony polskiej debaty publicznej. Ludzie, którzy w stosunku do przybywającego z zewnątrz „innego” potrafią się zdobyć na bardzo daleko idącą wyrozumiałość, nawet jeśli ten „inny” jest wyraźnie tradycyjny, nie są już w stanie wykrzesać z siebie podobnej empatii w stosunku do „innego” z ich własnej wspólnoty. Zatem gdy mowa o uchodźcach z Syrii, wsparcie w postaci transferów pieniężnych, i to często większych niż „500+”, nie razi, ale jest oczywistym sposobem pomocy osobom w potrzebie. Przybywającym do Europy imigrantom z Afryki i Bliskiego Wschodu nie odmawia się pracowitości, a na argumenty, że na Zachodzie stanowią największe grupy pobierające zasiłki, zauważa się, zresztą całkowicie słusznie, że to nic dziwnego, gdyż siłą rzeczy imigranci, nie będąc u siebie, zasilają dolne warstwy społeczne. Bulwersujące przypadki zachowań części imigrantów kwituje się stwierdzeniem, że nie można wyciągać daleko idących wniosków z pojedynczych wydarzeń, co jest zupełnie zrozumiałe, bo trudno oceniać tak wielką masę osób przez pryzmat grupy najbardziej rzucającej się w oczy. Niestety to zdroworozsądkowe podejście zupełnie znika, gdy nasz rodzimy liberał patrzy na Polaka z dolnych warstw społecznych. Empatii tu już nie uświadczysz, zapomnieć też trzeba o tolerancji dla odmienności i odmiennego stylu życia. W stosunku do „innego” rodaka pozostaje już tylko słabo

skrywana niechęć, żeby nie nazwać tego ostrzej.

Okazuje się zatem, że transfery pieniężne akurat na ubogich Polaków działają wyjątkowo destrukcyjnie. „Obywatele 500+” przestają chcieć pracować przy zbiorach truskawek za 1,50 zł od koszyka („Wyborcza”), a plantatorzy borówek nie mogą znaleźć rąk do pracy („Polityka”). Okazuje się, że polski „inny”, mając zapewnione stałe wpływy w postaci zasiłku, woli zostać w domu z trójką dzieci i leżeć na kanapie („Wyborcza”). I to najpewniej dokumentnie zalany, gdyż, jak pokazują 3 (słownie: trzy) przypadki ze 115-tysięcznego Włocławka, w całym kraju rodzice ze społecznych dołów przepijają zasiłki na dziecko („Na Temat”). A na tej całej degrengoladzie cierpi rynek pracy oraz prężni rodzimi plantatorzy owoców, którzy nie mogą znaleźć rąk do pracy i najpewniej będą musieli zwinąć interes.

Bardzo znamienne jest, że w tym lamencie nad rodzimymi plantatorami, który przetoczył się przez niektóre czołowe media, nikt jakoś specjalnie nie zwrócił uwagi na najprostsze rozwiązanie: podwyżkę pensji zbierających owoce. W końcu beneficjenci 500+, którzy nie palą się już specjalnie do katowania swoich kręgosłupów przy zbieraniu truskawek czy borówek, nie stali się nagle wyjątkowo leniwi, tylko po prostu taka harówka przestała im się ekonomicznie opłacać. Każdy człowiek ma w genach dążenie do poprawy swojego bytu i nieważne, czy jest mieszkańcem Wałbrzycha, czy Aleppo (choć nasze liberalne elity potrafią to dostrzec tylko w tym drugim), jednak gdy dostępne opcje zupełnie nie są warte zachodu, to racjonalnie jest te starania na jakiś czas zarzucić. Niestety plantatorzy sprzedają swoje produkty tak tanio, że nie mają już wolnych środków, które mogliby przeznaczyć na podwyżki i jednocześnie wyjść przy tym na swoje. Gdy podczas dyskusji na twitterze zwróciłem uwagę, że przecież mogliby podnieść ceny, otrzymałem informację zwrotną w postaci komentarzy w stylu „kto by je wtedy kupił”, „i tak już są po 5 zł za kilo” itd.

I z tak ze sprawy, wydawałoby się, trywialnej, jak kłopoty polskich sadowników ze znalezieniem rąk do pracy, wyłania się prawdziwy obraz porządku społecznego, który stworzyliśmy. Okazuje się, że możemy sobie pozwolić na truskawki tylko dlatego, że część naszych rodaków pracuje za półdarmo. Oczywiście truskawki to tylko symbol – to samo można powiedzieć o tanich produktach z hipermarketów kasowanych przez bardzo źle wynagradzane kasjerki, dzięki czemu mamy np. tańszą musztardę. Możliwość konsumpcji na jako takim poziomie została przez nasze społeczeństwo okupiona tym, że część z nas została pozbawiona godności, ciężko pracując za tak niskie pieniądze, iż nawet 500-złotowy zasiłek na dziecko jest dla ich pracy konkurencyjny. Widać też, jak trywialne są prawdziwe motywacje dla oburzenia naszych intelektualistów, rzekomo walczących o wartości i imponderabilia, a tak naprawdę kierujących się maksymą: „tak, macie pracować za marne pieniądze, bo my chcemy mieć tanie truskawki”.

A przecież wcale nie musi tak nadal być. Wzrost pensji tych zbierających borówki czy innych najgorzej wynagradzanych pracowników nie spowoduje żadnego dramatu gospodarczego. Wręcz przeciwnie, jest bardzo pożądanym. Weźmy za przykład owe truskawki, o które było tyle lamentu. Po pierwsze, koszty pracy to tylko część całkowitych kosztów produkcji, więc nawet gdyby plantatorzy musieli podnieść zarobki dwukrotnie, to ich produkt zdrożałby co najwyżej o 1/3. Trudno podejrzewać, że wzrost ceny truskawek o 1,5-2 zł na kilogramie nagle spowoduje, że Polacy masowo przestaną kupować owoce, które wyjątkowo lubią. Nie przerzucą się też chociażby na sprowadzane mrożonki, gdyż te są zwyczajnie gorszej jakości, a w przypadku owoców świeżość ma ogromne znaczenie. Również wśród odbiorców korporacyjnych (masowi detaliści, producenci przetworów) zmiana dostawcy na zagranicznego nie musi nastąpić – w końcu import zawsze wiąże się z kosztami transakcyjnymi, które „zjadają” korzyści z niższej ceny. Tym bardziej w przypadku owoców, które łatwo się psują. Gdyby import tańszych odpowiedników był taki oczywisty, to nikt by nie sadił

truskawek np. w Holandii czy w Niemczech, gdzie koszty pracy są dużo wyższe niż w Polsce. Powyższy wywód dotyczy truskawek, ale można go odnieść do prawie każdego obszaru działalności. Rzekoma konieczność utrzymania niskiej ceny stanowi jedynie alibi dla producentów wołających wymuszać niskie płace na pracownikach, niż twardo negocjować wyższą cenę z odbiorcami, których pozycja negocjacyjna jest dużo wyższa.

Tymczasem wzrost płac najniżej wynagradzanych Polaków opłaci się także tym, którzy przed podniesieniem ich pensji bronią się obecnie rękami i nogami. W końcu będzie to oznaczało, że włączymy w wymianę rynkową tych, którzy obecnie są z niej wykluczeni. A to oznacza poszerzenie bazy popytowej i to na jej dole, czyli w sposób najbardziej opłacalny z punktu widzenia rodzimych producentów. To właśnie klienci z dołów społecznych wydają całe swoje dochody (nie starcza im na odkładanie), robią to w kraju (nie stać ich na zagraniczne zakupy), i to na najczęściej na wyroby krajowe, gdyż te są z reguły tańsze, a wśród zakupów najuboższych dominują produkty podstawowe, które zwykle dostarczane są przez producentów krajowych. Inaczej mówiąc, być może truskawki nieco zdrożeją, ale okaże się, że po raz pierwszy w życiu będą je mogli w końcu kupić ci, którzy je zbierają. Tak więc sadownicy odbijają sobie wzrost płac wzrostem popytu.

Trudno też na poważnie brać doniesienia o przepijaniu 500+. Informacja o trzech przypadkach libacji za 500+ w 115-tysięcznym Włocławku, która miała być dowodem na degenerujący wpływ zasiłku na Polaków, tak naprawdę pokazuje tylko, że jest to zjawisko marginalne. Oczywiście media nie pokażą tych tysięcy rodzin, którym wsparcie na dzieci pomogło autentycznie podnieść poziom życia, lecz skupią się na kilku bulwersujących przypadkach marnotrawstwa. Jednak nie zmienia to faktu, że bez wątpienia tych pierwszych jest nieporównywalnie więcej. Czy mamy rezygnować z pomocy tysiącom potrzebującym tylko dlatego, że załapie się na nią przy okazji również paru pijaczków? Czy zamiast kreować politykę społeczną z myślą o zdecydowanej

większości ciężko pracujących Polaków, mamy ją dostosowywać do wąskiego marginesu?

Sens idei wsparcia socjalnego często tłumaczy się metaforą. Wyobraźmy sobie, że jest pożar, a my mamy do dyspozycji tylko ograniczone źródło wody i przeciekające wiadro. Czy w takim przypadku zrezygnujemy z próby ugaszenia ognia tylko dlatego, że część wody wycieknie i się zmarnuje?

No cóż, osobiście wolę, żeby drobna część naszych podatków sfinansowała wódkę dla kilku pijaczyn, jeśli dzięki temu tysiące polskich rodzin podniesie swój standard życia. Wolę też zapłacić trochę więcej za truskawki, jeśli dzięki temu część moich rodaków będzie miała nieco bardziej godne pensje. Oczywiście polscy wykorzenieni intelektualisci nie zdzierżą tej świadomości, ale kto by się tym przejmował. Święte oburzenie liberalnego inteligenta jest równie interesujące, co libacja we Włocławku.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl